



Autor „Idącego o poranku” nie zdecydował się na żadną z tych dróg, nie poszedł na całego, a pomieszał nikielne elementy jednej i drugiej koncepcji. Wynikłe stąd luki uzupełnił dobrą wolą; szczerym protestem wobec bezideowych, amoralnych osobników, którzy zapa-

Andrzej Jarecki

DUŻE CIEMNE

Z prawdziwą przyjemnością zaobserwowałem w pierwszej sztuce młodego autora Macieja Zenona Bordowicza pewne podobieństwa do komedii „Duże jasne”, którą napisaliśmy parę lat temu razem z Abramowem. Tyle, że sztuka Bordowicza powinna się nazywać „Duże ciemne”. Nazywa się „Idący o poranku” i nie jest komedia...

Wystawił ją ten sam Teatr Ateneum, który z podziwu godnym uporem szpera za oryginalnymi polskimi dramatami współczesnymi. „Idący o poranku” jest plonem zeszłorocznego konkursu na debiut dramatyczny, obok sztuki Wł. Rybkiewicza „Konsul”, którą być może także zobaczymy na scenie Ateneum. Niestety, w realizacji scenicznej sztuki Bordowicza nie sprawdziło się wiele nadziei, jakie w niej członkowie jury (a wśród nich niżej podpisany) pokładali. Za to sprawdziło się wiele obaw. Wspaniała reżyseria Kazimierza Dejmka, znakomita scenografia Andrzeja Sadowskiego, który pokazał na scenie syntetyczny w obrzydliwości a zarazem pełen szczególnego uroku prowincjonalny dworzec kolejowy — a więc i reżyseria i scenografia zaostrzają tylko apetyty widzów na dobrą współczesną sztukę. Ale tekst Bordowicza nie karmi.

Wiem, że tego autora nie trzeba traktować ulgowo. Bordowicz ma już poważne doświadczenie pisarskie jako poeta. Ambitny i zdolny, na pewno będzie próbował dalej i w dziedzinie teatru. Tym bardziej warto podzielić się z nim uwagami o jego debiutanckiej sztuce.

Popenił w niej szereg błędów w najlepszym zamiarze pokazania wycinka polskiego życia współczesnego. Przekonany o sile wymowy przedstawianych faktów i postaci, pozwilił bohaterom nie rozwijać się w trakcie akcji, pozwilił wypadkiem ugrząść w jednym punkcie, na małej kolejowej stacji, przez którą przewija się galeria miejscowych pijaczków, wycirusów, wykołajców, a także powiatowych zrakomitości, przeważnie spod ciemnej gwiazdy. Dworcowy bufet z piwkiem i czystą serwowana spod ławy skupia życie towarzyskie miasteczka.

Przez trzy akty sztuki widz obserwuje stale to samo. Daleki wybuch w kamieniołomach przy końcu trzeciego aktu (to prawdopodobnie nieszczęśliwie zakochany Cudny wysadził się w powietrze) nie dokonuje żadnego zwrotu w akcji, w sensie kompozycyjnym jest zaledwie jeszcze jednym ornamentem. Kilka mordobić także nie stwarza dramatu — nieco tylko dramatyzuje upływ czasu. Tylko dzięki wytrwałym wysiłkom aktorów, którzy kierowani myślą reżysera na kanwie słów wyhałowali linie konfliktów — powstał na scenie interesujący rytm biackiej nocy.

Aby taka sztuka, jak „Idący o poranku” trafiła do widza, aby go przekonała, że jest na co patrzeć i o czym myśleć, powinna być bardziej przejmująca, tragiczna. Powinna więc pokazywać sytuacje mocniejsze, głębiej związane z losem ludzi, z naszym wspólnym losem. Albo też powinna być chłodniejsza — ironiczna, komentująca, mądra — wtedy byłaby komedia z morałem.

skudzają ojczyzny krajobraz — i szczerym wołaniem o porządek ideowy i moralny, poetyckim apelem o czystość miłości.

Oprocz brutalnego, lecz w dużym stopniu prawdziwego obrazu egzystencji brudnej maioniasteczkowej śmietanki towarzyskiej Bordowicz pokazał skromne wartości pozytywne. Może dobre, lecz martwe już tradycje reprezentuje dziadziokreśowiak (Stanisław Libner). Coś z postawy socjalistycznej wnosi tajemniczy towarzysz Jordan, były „ubek”, obecnie dyrektor kamieniołomów — dzięki niemu zjawia się w sztuce rewolwer, który ani razu nie wypali. To przekroczenie tradycyjnej reguły dramatycznej (wszyscy znają chyba słynną anegdotę Czechowa o flincie, wiszącej na ścianie w pierwszym akcie, która musi wypalić w trzecim) ma dla Bordowicza sens odkrycia społecznego: dziś, w czasach pracy, nie wałki, pistolet nie jest już drogowskazem postępowania, życie i śmierć nie są wystarczającymi kryteriami orientacji moralnej, jak niegdyś. Odkrycie nie jest własne — ale prawdziwe. Bordowicz pokazuje umiejętnie i ciekawie fakt, że u nas geografia wojenna i pierwszych lat powojennych do dziś określa postawy ludzi, i podlegają jej nawet ci, którzy w tamtych czasach byli dziećmi — jak i sam zresztą dwudziestotrzyletni autor sztuki.

Największe, choć nieco naiwne nadzieje wiąże autor — moralista z postacią Edka, który decyduje się pozostać w miasteczku mimo krzywd, jakich tu doznał i mimo gróźb, które się zapewne nie spełnią.

Prawdziwe obserwacje z życia i poetyckie nadzieje ideowe to główne wartości sztuki Bordowicza. Przydałaby się jeszcze lepsza kompozycja, lepsza forma, a przede wszystkim większa umiejętność przekładu dobrych chęci i ważnych myśli na język teatru.

Doskonale zagrali rozmaite i bogate typy rodzinnych pijaczków Jan Matyjaszkiewicz (Pan Punio), Ludwik Pak (Pan Kazia), Roman Wilhelm (Cudny), Marian Rułka (Piechaczek), Zdzisław Tobiasz (Papiernik).